

Monika Świerkosz

Topografie i kartografie (kobiecego) dwudziestolecia

Choć w czasach Foucaultowskich heterotopii metafora „mapy” okazała się problematyczną formą ujmowania podmiotowego doświadczenia przestrzeni, to w przypadku badań literackich przyczyniła się do zmiany sposobu uprawiania tej dyscypliny. Klasyczny „historyk”, ujmujący tradycję jako ciąg następujących po sobie okresów, przeobrażał się coraz częściej w „kartografa”, który zaczął postrzegać przeszłość jako zbiór tekstowych konstelacji. „Mapowanie” literatury wydawało się praktyką mniej zawłaszczającą niż pisanie podręcznikowych syntez. A jednak w dobie rozmaitych „spacjalizacji historii” tym wyraźniejsza staje się sygnalizowana przez autora *Of Other Spaces* potrzeba rozróżnienia „kartografii” i „topografii”, syntetyzującego, nierzadko ahistorycznego spojrzenia napowietrznego obserwatora i ziemskiej, uwikłanej we własną czasowość perspektywy jej mieszkańca. Na fakt ten zwraca uwagę Joanna Krajewska we wstępie do swojej książki *Spór o literaturę kobiecą w Dwudziestoleciu międzywojennym*¹, przypominając, że za zgrabnymi metaforami przestrzennymi czy teoriami stoi zwykle bardzo konkretnie umiejscowiona w czasie rzeczywistość jakiegoś społeczeństwa i określonej kultury, których nie sposób badać ahistorycznie. Wiedział o tym ojciec nowego historyzmu Stephen Greenblatt, przestrzegając badaczy przed stosowaniem takich praktyk teoretycznych, które oczyszczają znaki ze „szlamu historii”, czyniąc je abstrakcyjnymi, uniwersalnymi konceptami kulturowymi: figurami nowoczesnego podmiotu czy doświadczenia.

Kwestię „historyczności” badań nad literaturą dwudziestolecia utrudnia być może fakt, że po okresie fascynacji legendą Młodej Polski to właśnie ta epoka zaczęła funkcjonować na prawach mitu jako źródło nowych paradygmatów „nowoczesności”: zarówno literackich (wzorzec arcydzieła, sztuki), jak i osobowych (wzorzec pisarza, krytyka, inteligenta, obywatela, polityka). Rzeczywistość II RP stała się – również w pamięci potocznej – obrazem „złotego wieku”, który po 1989 roku powrócił pod postacią boomu na nostalgiczcie, sięgające korzeniami przedwojnia, inteligentkie „historie rodzinne” (fenomen ten zanalizowała Agnieszka Mroziak

¹ J. Krajewska, *Spór o literaturę kobiecą w Dwudziestoleciu międzywojennym*, Poznań 2014.

w *Akuszerkach transformacji*²), a także międzywojennego, arystokratycznego blichtru, budującego atrakcyjność mainstreamowych powieści „historycznych” (w typie *Morfiny* Szczepana Twardocha i kryminałów Marka Krajewskiego) czy filmów i seriali telewizyjnych, odtwarzających wzniosłą, patriotyczną atmosferę tamtych dni (*Wojna i miłość*, *Bitwa warszawska*).

Ten z jednej strony semantyczny naddatek, z drugiej – swoista nadprodukcja rozmaitych (atrakcyjnych interpretacyjnie) teorii „doświadczenia nowoczesności”³, a także zainteresowanie dla rodzących się wówczas ideologii – wszystko to spowodowało, że z biegiem czasu to, co kulturowe, zaczęło przysłaniać to, co społeczne. Dlatego ponowne postawienie pytania o referencyjność literatury międzywojnia, o wzajemny związek tekstu, języka (dyskursu) i rzeczywistości społecznej wydaje mi się dziś sprawą niezwykle ważną. Trzy wydane ostatnio książki – wspomnianej już Joanny Krajewskiej *Spór o literaturę kobiecą w Dwudziestoleciu międzywojennym* (Poznań 2014), Małgorzaty Büthner-Zawadzkiej *Warszawa w oczach pisarek. Obraz i doświadczenie miasta w polskiej prozie kobiecej 1864–1939* (Warszawa 2014) oraz Urszuli Glensk *Historia słabych. Reportaż i życie w dwudziestoleciu (1918–1939)* (Kraków 2014) – w niezwykle interesujący sposób korespondują ze sobą, stawiając w centrum kwestię relacji między życiem społecznym dwudziestolecia a literaturą.

Literatura w uścisku dyskursów (albo czy istnieje rzeczywistość poza dyskursami?)

„Stare reportaże uczą pokory” – pisze we wstępie Urszula Glensk, podkreślając, że również dla niej osobiście praca badawcza oznaczała wychodzenie poza kadry pięknych fotografii retro z rodzinnego albumu. Analizując międzywojenne reportaże społeczne, autorka nie idzie wyłącznie śladem reporterów, udających się na przedmieścia, do przytułków dla sierot i prostytutek, noclegowni dla bezdomnych, poprawczaków, więzień i szpitali. Przytacza ona nieustannie głosy publicystów związanych z różnymi opcjami ideologicznymi, a także socjologów, antropologów tamtych czasów, wchodząc głęboko w przestrzeń ówczesnej debaty publicznej, dotyczącej spraw rynku pracy, demografii, higieny, pedagogiki, ekonomii, prawa czy polityki. Włącza w to pole dyskursów również zagadnienia „literackości” nowych gatunków piśmiennictwa (reportaż, felieton), ale także pytania o przemiany modelu czytelnictwa po pierwszej wojnie światowej spowodowane rozwojem prasy oraz ich wpływ na status kategorii „autentyczności”, „prawdziwości”. W ten sposób udaje się autorce nie tyle podważyć (już wówczas mocno kwestionowaną) opozycję literatury i życia, nie tyle pokazać, że kultura w swoim kształcie jest wytwarzana społecznie, ile wytropić nić łączącą to, co literackie, kulturowe i społeczne, a przez to przywrócić tekstom z lat 20. i 30. ich własny kontekst. Składa się na niego przede wszystkim język epoki, zbiór obiegowych i doskonale zrozumiałych wówczas pojęć, nie zaś zestaw konceptów kulturowych, mitów, metafor, które zdążyła wytworzyć współczesność. Glensk skrupulatnie ten słownik dwudziestolecia rekonstruuje: „ludzie zbęd-

² A. Mrozik, *Kobiecte archiwa – spiżarnie pamięci. Polityka tożsamości w (auto)biografiach kobiet po 1989 roku*, [w:] eadem, *Akuszerki transformacji. Kobiety, literatura i władza w Polsce po 1989 r.*, Warszawa 2012, s. 279–352.

³ Być może najtrafniejszym zobrazowaniem tej praktyki badawczej byłyby tu książki Michała Pawła Markowskiego o literaturze dwudziestolecia: *Czarny nurt. Gombrowicz, świat, literatura*, Kraków 2004 czy *Polska literatura nowoczesna. Leśmian, Schulz, Witkacy*, Kraków 2007.

ni”, „podrzutki”, „wypędki”, „chustkowe”, „fabrykantki aniołków”. Dlatego też, kiedy analizuje reportaże poświęcone „kobietom ulicy”, nie posługuje się figurą benjaminowskiej czy baudelairowskiej prostytutki, lecz odnosi się do ówczesnego stanu prawnego i praktyk policyjnych („20 kroków od latarni do ciemnego pasa na chodniku”, „czarne książeczki”), dyskursu medyczno-higienicznego (fikcja kontroli zjawiska chorób wenerycznych), antropologicznego (teoria „wrodzonej prostytucji”), publicystycznego sporu abolicjonistów ze zwolennikami inkryminacji zjawiska. Gdy pisze o „wypędkach”, a więc zjawisku bezdomnych dzieci, nie powołuje się na żadną z późniejszych teorii *flânerie* ani awanturniczy „mit trampa”. Więcej o społecznym podłożu tego zjawiska mówi jej ówczesna popularność typologii Ernsta Kretschmera (włóczęga-kaleka, włóczęga-uciekier, włóczęga-przywódca) czy też psychiatrycznej koncepcji wrodzonego „popędu włóczęgostwa” z książki Władysława Sterlinga *Dziecko epileptyczne* (1930) – bo to do nich odwoływały się autorytety moralne tamtej epoki. Zaglądając za reportażystami na komisariat, do szpitala wenerycznego św. Łazarza, do przytułku, a może przede wszystkim na salę sądową, tylko gdzieś na marginesie wspomina o „nadzorować i karać” Foucaulta czy „męskiej dominacji” Bourdieu – nie daje się jednak uwieść teoriom. Analizując etnopolityczne reportaże (m.in. *Czarny ląd – Warszawa* Wandy Melcer) i spór wokół uboju rytualnego, a także kryzysu ekonomicznego, jaki wywołał on na rynku handlu mięsem, pisze wprost:

„Wołanie o zmianę świadomości «getta» było bezzasadne bez pytań o możliwości finansowe i polityczne – pod tym względem większość przedwojennych «modernizatorów» popełniała błąd, powtarzany zresztą później przez filozofów kulturowej lewicy, przez Pierre’a Bourdieu czy Jacques’a Ranciere’a. Uznawali oni, że wszelka emancypacja i odwracanie zbiorowych perspektyw zaczyna się od krytycznego myślenia, fermentu estetycznego i pobudzenia intelektualnego”⁴.

Nieufna wobec uniwersalistycznych „wielkich narracji” filozofów kultury Glensk przekonuje, że na problemy społeczne dwudziestolecia musimy patrzeć dwutorowo: analizując stosunki w płaszczyźnie ekonomiczno-politycznej (zwłaszcza w dobie nasilających się nacjonalistycznych tendencji i kryzysu ekonomicznego) i jednocześnie biorąc pod uwagę to, co zostało zakodowane w sferze tabu obyczajowego (związanego z wszystkim, co na styku prywatnego i publicznego: gender, seksualnością, władzą rodzicielską, instytucjami wychowawczymi). Ani jednak odniesienie (wyłącznie) do kwestii klasowych (biedy, zależności ekonomicznych) nie pozwoli odpowiedzieć na pytanie o fenomen „sekretnych dzieci” – niemowląt oddawanych przez młode dziewczyny z tak zwanych dobrych domów do sierocińców – ani też (wyłącznie) argument „zacofanej mentalności” proletariatu nie wyjaśni, dlaczego w tak nikłym stopniu projekt „świadomego macierzyństwa” trafił do kobiet z nizin społecznych, dziewczyn z fabryk i służących, a więc tych potencjalnie najbardziej zagrożonych niechcianą ciążą.

Być może najmniej spodziewanym efektem badania granic referencjalności literatury dokumentarnej dwudziestolecia jest w *Historii słabych* odkrycie pułapek myślenia „postępowego”, jakie prezentowała – najogólniej rzecz ujmując – liberalno-lewicowa część polskiej inteligencji. W wypowiedziach pisarzy i pisarek związanych z „Wiadomościami

⁴ U. Glensk, *Historia słabych. Reportaż i życie w dwudziestoleciu (1918–1939)*, Kraków 2014, s. 200.

Literackimi” czy grupy „Przedmieścia” dostrzega Glensk ten niebezpieczny rodzaj posługiwania się pojęciem „człowieczeństwa”, które staje się pewną cywilizacyjną normą człowieka: zdrowego, myślącego, sprawnego, użytecznego. Z tej perspektywy społeczne problemy oraz ludzie, którzy je reprezentowali (sieroty, bezrobotni, chałtatowcy, uliczne prostytutki, włóczędzy), jawili się „postępowcom” jako chorobliwe symptomy równie chorego społeczeństwa i jako takie nadawali się do „leczenia” przez zastosowanie racjonalnych, humanitarnych rozwiązań. Za sposobem pokazywania reportażowego bohatera jako „schematu człowieka” – kogoś zredukowanego do bycia znakiem owej niepożądanego lub tragicznej odmienności, której trzeba (lub nie można) się wyzbyc – stał raczej paradoks niż zwykła tendencyjność. Paradoks dyskursu postępowego, asymilacyjnego, który nie zostawiał miejsca dla „nieświadomej”, „nie-nowoczesnej”, „niepełnosprawnej”, „nieaktywnej zawodowo” części społeczeństwa. Tak oto międzywojenna postępowość ocierała się niepokojąco o idee eugeniczne, neomaltuzjanizm czy rasizm, co widać w „kolonizującym” i silnie wartościującym języku reportaży Wandy Melcer.

Ta podejrzliwość wobec nie tylko „moralnej”, ale i „poznawczej” prawdy dyskursów, która każe Glensk zestawiać ze sobą różne punkty widzenia, nie polega jednak ani wyłącznie na chęci obnażenia ich zawłaszczającej ideologicznej siły, ani tym bardziej na chęci przyłapania autorów na kłamstwie czy obłudzie. Mimo to lekturze książki towarzyszy wrażenie dysonansu, spowodowanego uświadomieniem sobie istnienia w dwudziestoleciu ogromnej dysproporcji między pozycją tego, kto pisze, i tego, kto jest opisywany, a także dojmujące poczucie powszechnej krzywdy, poniżenia i niesprawiedliwości, które naznaczyły czasy rzekomego „złotego wieku polskiej kultury”. Widać to szczególnie w wyeksponowanym wątku policyjno-sądowniczym: najgłośniejsze procesy epoki (przeciw opiekunom-oprawcom w zakładzie dla chłopców w Studzieńcu, przeciw bezdomnym dzieciobójczyniom, przeciw morderstwom z biedy) jak w soczewce pokazują największy problem społeczny międzywojnia. Instytucje, w imieniu których ustanawiano porządek publiczny, nie tylko nie były w stanie ochronić najsłabszych, ale nawet wymierzyć (sprawiedliwych) kar oprawcom. Rozszerzały aparat nadzoru, nie mając rzeczywistej kontroli nad swoimi placówkami; bezsilne wobec systemowych nadużyć rozbudowywały system kar. Narodziny nowego „podmiotu historii” (bohaterowie Glensk to m.in.: Stanisława Filipina Paleolog, Zofia Kuzia vel Zośka Pomidor, siostra Stanisława Umińska, Doktor Łokietko i Tata Tasiemka czy Józefa Frydówna) zbiegają się z narodzinami nowego gatunku reportażu sądowniczego (ze świetnym zbiorem Ireny Krzywickiej *Sąd idzie*), co pozostawało w ścisłym związku z przygotowaną reformą kodeksu karnego, ale także z dyskusją na temat dopuszczenia kobiet do zawodu sędziego (doskonały pomysł włączenia do korpusu analizowanych tekstów reportaży „zawodowych” Wandy Grabińskiej, pierwszej Polki z nominacją sędziowską z 1929 roku). Odzyskanie tych niegdyś widocznych, dziś zatartych związków między społecznymi, literackimi, ekonomicznymi, politycznymi faktami okazuje się dla współczesnych badaczy sprawą pierwszorzędą. „Dwudziestolecie mniej znane dziś to dwudziestolecie znane wtedy”⁵ – słusznie przekonuje Joanna Krajewska.

⁵ J. Krajewska, *Spór o literaturę...*, op. cit., s. 59.

Literatura w uścisku literatów (albo komu potrzebna jest „czysta literatura”?)

Książka Joanny Krajewskiej, choć zasadniczo poświęcona sporom o literaturę kobiecą w dwudziestoleciu, koresponduje z rozpoznaniem Glensk, a to dlatego, że jej autorka potraktowała literaturę i dyskursy, które ją otaczają, jako instytucję – i to instytucję, która w realiach młodego, niepodległego państwa szybko popadła w stan kryzysu. Paradoksem jest być może to, że po 1918 roku, kiedy to poeci szumnie zrzucili z ramion „płaszcz Konrada”, by tworzyć „czystą literaturę”, zaczęto prowadzić spory o istotę literackości, jej związek z rzeczywistością i status zyskujących popularność gatunków niefikcyjnych (głównie prozy dokumentarnej: reportaży i felietonów). Było to konieczne, gdyż modernizujące się społeczeństwo wykształciło już nowy model czytelnika (czytelniczki) z jego/jej głodem współczesności, w kwestii zaś zaspokajania tej potrzeby rozwijający się dynamicznie rynek gazetowy zaczął stanowić dla literatury najpoważniejszego konkurenta.

To niezwykle zastanawiające, w jaki sposób opisana przez Glensk dyskusja o literackim (bądź nie) charakterze reportażu zajął się z dyskusją o wewnętrznym rozkładzie „Wiadomości Literackich”, którego główną przyczyną było oddanie redakcyjnego pola Tadeuszowi Boyowi-Żeleńskiemu i jego „umysłowości reportażowej” (określenie Jana Emila Skińskiego). Krajewska skrupulatnie śledzi różne pozycje ideowe i strategie argumentacyjne, za pomocą których zdyskredytowano nie tylko liberalno-lewicowy, laicki, racjonalistyczny projekt reformy obyczajów, ale również pewien model inteligenta i pisarza zaangażowanego społecznie, co stanowi tu nieoczekiwane dopowiedzenie kwestii związanych ze wspomnianą już krytyką międzywojennych środowisk postępowych. Wydają się one mówić raczej głosem broniącej się mniejszości niż kolonizującej, narzucającej swój sposób myślenia większości.

Z pozycji socjalistycznych (Ignacy Fik, redakcja „Robotnika”) atakowano wyznawaną przez zwolenników i zwolenniczki „świadomego macierzyństwa” ideę postępu jako paternalistyczną próbę narzucenia (niechcianej) swobody obyczajowej grupom, których prawdziwe problemy leżały gdzie indziej – w stosunkach produkcji i kapitału, nie zaś reprodukcji. Na rozdziale między prywatnym a publicznym ufundowany został więc międzywojenny wzór społecznika-socjalisty, którego wrażliwość społeczna oczyszczona została z brzydkich, skandalizujących zagadnień ciała, płci, seksualności, antykoncepcji czy przemocy domowej. Tę „klasową” argumentację wykorzystywali również ci, którzy z socjalizmem niewiele mieli wspólnego. Jan Nepomucen Miller uznał kampanię na rzecz „świadomego macierzyństwa” nie za walkę ze społeczną krzywdą, lecz, propozycję życia na miarę „pensjonarki, modystki czy manicurzystki”, Jan Emil Skiński zaś określił wprost ten „anty-ideal” ludzkiej egzystencji realizacją modelu „życia ułatwionego”, a więc pozbawionego tragicznego pęknięcia, napięcia etycznego, głębi. I wreszcie z pozycji obrońcy „wielkiej literatury” Karol Irzykowski postawę autora *Piekła kobiet* określił jako „zdradę klerka”: sprzeniewierzenie się pisarskiemu ideałowi apolityczności, niezależności, która nakazuje literatowi być wolnym od angażowania się w problemy społeczne. Jeśli bowiem z dramatu niechcianej ciąży można jeszcze stworzyć jakąś literaturę, to z pewnością pytanie „zabezpieczać się lub nie” jest pozbawione jakiegokolwiek potencjału artystycznego. Nietrudno odgadnąć, jaki (który) model literackości (tej prawdziwej) odziedziczyliśmy w spadku po

dwudziestoleciu, jednak dzięki drobiazgowym i wnikliwym analizom Joanny Krajewskiej możemy zobaczyć, jak bardzo jest on „antyemancypacyjny”. Wielka literatura to ta, której tematy (dylematy, rozterki) mogą się rozwijać nie pomimo (czy poza), ale właśnie w ramach funkcjonowania świata pełnego nierówności, przemocy, codziennych tragedii małych ludzi. Tak rozumianej literaturze zagraża zatem nie tyle polityka (ideologiczność) czy etyka (służba etycznym powinnościom), ile samo życie, w którym dokonuje się społeczna zmiana, w którym emancypacja szeroko rozumiana przestaje być projektem, a zaczyna stawać się faktem. Zdaniem Krajewskiej konsekwencje przegranej Boja z Irzykowskim sięgają dalej niż poza ramy ówczesnego sporu i wiążą się z trwałym zejściem ze sceny określonej „formacji liberalno-lewicowej” oraz dyskredytacją wypracowanego przez nią modelu literatury. Być może dlatego dziś musimy wciąż odbywać te jałowe spory „estotów” z „ideologami”, przeciwstawiające „wartość artystyczną” zaangażowaniu? Być może dlatego w Polsce „mieszczanin wciąż czeka na powieść”, krytycy lamentują nad kondycją polskiej prozy współczesnej, która cierpi na chroniczny „niedobór rzeczywistości”⁶? Być może dlatego oskarżenia o uprawianie „nieczystej literatury” kierowane były (i nadal są) przede wszystkim pod adresem kobiet pisarek?

Można powiedzieć, że książka Krajewskiej jest w całości przyczynkiem do wykonania swoistej „psychoanalizy” współczesnej przestrzeni krytycznoliterackiej, do ujawnienia tego, w jaki sposób głosy (i sposób literackiego wartościowania) Irzykowskiego, Słonimskiego, Miłosa czy Gombrowicza zostały zinternalizowane i dziś stanowią pewien „milczący” zbiór założeń i wyobrażeń na temat tego, czym jest „naprawdę dobra literatura”. To nie tylko literatura wyrzekająca się wpływu na rzeczywistość i z niej wypłukana, również taka, której „męskiego” charakteru należało bronić przed pisarkami. Pisał wszak Gombrowicz: „Przed wszystkim kobiety. Oto *testimonium paupertatis*: powieść owego czasu opierała się głównie na kobietach i była jak one. Okrągła w liniach, miękka, rozlazła. Sumienna, drobiazgowo, dobrotliwa, czuła. Ona to «z mądrością serca nachylała się nad szarym losem ludzkim «lub» pracowicie przędła kanwę wielu istnień we wzór serdecznej troski i uświęcającej litości». [...] Nikt nie neguje talentu tym Dąbrowskim, Nałkowskim, do Gójawiczyńskiej włącznie, ale czy ta rozplywająca się w kosmosie babskość mogła w jakiś sposób ukształtować świadomość narodu?”⁷.

Trudno się więc dziwić, że Krajewska dochodzi do konstatacji: „[...] przyznanie kobietom ważnego w dorobku literackim Dwudziestolecia miejsca przyczyniło się do wystawienia przez wpływowych intelektualistów, pisarzy i krytyków tej epoki ujemnej oceny całemu okresowi”⁸. W oczach znawców epoki, Kazimierza Wyki czy Czesława Miłosa, nawet relatywny sukces kobiet na rynku wydawniczym dwudziestolecia zaświadczał bardziej o słabości literatury w czasach jej kryzysu niż o jej rozkwicie⁹, bo ten przyszedł nieco później, kiedy Boja zastąpił Gombrowicz i przywrócił polskiej literaturze właściwą jej rangę.

⁶ Zob. P. Karwowski, **Mieszczanin czeka na powieść, powieść szuka mieszcza**, „Dwutygodnik” 146/2014, <http://www.dwutygodnik.com/artku/5551-mieszczanin-czeka-na-powiec-powiec-szuka-mieszczucha.html> (19.03.2015), oraz dyskusję wywołaną przez esej Wita Szostaka **Polska obok powieści**, „Znak” 7-8/2012, <http://www.miesiecznik.znak.com.pl/5385/polska-obok-powieci> (19.03.2015).

⁷ W. Gombrowicz, **Dziennik (1953–1956)**, t. 1, Paryż 1982, s. 213–214.

⁸ J. Krajewska, **Spór o literaturę...**, op. cit., s. 307.

⁹ Teza ta może ciekawie korespondować z założeniami zapowiedzianej przez Wydawnictwo IBL książki A. Araszkiwicz **Zapomniana rewolucja. Rozkwit kobiecego pisania w dwudziestoleciu międzywojennym**, Warszawa 2015.

Kobiecość w uścisku krytyków (czy kobiety znajdują się poza dyskursem?)

Patrząc na klasyczne „mapy” dwudziestolecia, piszące kobiety dostrzeżemy jednak, poza nielicznymi wyjątkami (Nałkowska, Dąbrowska, ale czy Kuncewiczowa?), na peryferiach literatury. Również we współczesnych badaniach literackich nazwiska Heleny Boguszewskiej, Wandy Melcer, Elżbiety Szemplińskiej, Ireny Szelburg-Zarembiny czy Anieli Gruszeckiej znane są raczej z wrywkowej lektury i nadal funkcjonują w swoich kobiecych „specjalnych rewirach” lub jako „ślady nieobecności”¹⁰. Czy zatem potwierdza to tylko tezę często przyjmowaną przez badaczki i badaczy spod znaku krytyki feministycznej, że w każdej epoce – nawet tak prokobiecej jak dwudziestolecie międzywojenne – kobiety pozostawały niejako „poza dyskursem”¹¹, obok głównego nurtu, poza wpływowymi instytucjami życia literackiego, zawsze na marginesie, samotnie i „bez tak istotnego dla sukcesu wsparcia grupy, krytyki, żony”¹²? A jeśli ów margines zacząć postrzegać jako „miejsce radykalnego otwarcia”, które – choć naznaczone innością i opresją – paradoksalnie znajduje się nie na obrzeżach, ale w samym środku dominującej kultury i życia społecznego¹³?

Z punktu widzenia topografii sporów o literaturę w dwudziestoleciu międzywojennym, którą zrekonstruowała Joanna Krajewska, widać wyraźnie, że ponawiane w dyskursie krytycznoliterackim pytanie o status kobiecego pisania nie tylko znalazło się dokładnie w centrum ogólnoliterackich debat, ale również zmuszało krytyków do dokonywania kartograficznych przesunięć. Stało się tak dlatego, że – mimo rozmaitych prób uchwycenia czy zdefiniowania jego specyfiki – jako zjawisko było ono czymś wewnątrznie sprzecznym, i to zarówno pod względem psychologii twórczości, jak i samej poetyki. Przypominając tekst Haliny Filipowicz *Przeciw literaturze kobiecej*¹⁴, autorka monografii pisze o fundamentalnym i immanentnym pojęciu „literatury kobiecej”, pęknięciu spowodowanym świadomością tego, że jego geneza ma swoje źródło w mizoginicznym rezerwuarze kulturowych wyobrażeń (kobieta jest Inna, więc musi pisać inaczej niż mężczyzna). Owo pęknięcie uwidoczniło się najsilniej w momencie, w którym profeministyczna pisarka wystąpiła przeciw temu, co jej epoka określiła mianem „kobiecego stylu”, i raz na zawsze skomplikowało odpowiedź na pytanie, w jaki sposób w kulturze patriarchalnej tekst kobiecy może być wywrotowy.

Jak pisze Krajewska, Irena Krzywicka esejem *Jazgot niewieści, czyli przerosł stylu* problematyzowała tradycyjny podział na (postępowych) zwolenników i (konserwatywnych)

¹⁰ Tego pierwszego sformułowania użyła Ewa Kraskowska w jednej z pierwszych książek przywracających kobiecy dorobek pisarski epoce. Zob. E. Kraskowska, **Piórem niewieścim. Z problemów prozy kobiecej dwudziestolecia międzywojennego**, Poznań 2003 (wydanie II). Drugie sformułowanie jest tytułem wydanej niedawno książki Anny Marchewki **Ślady nieobecności. Poszukiwanie Ireny Szelburg**, Kraków 2014.

¹¹ L. Magnone, **Konopnicka. Lustra i symptomy**, Gdańsk 2011, s. 203.

¹² E. Graczyk i M. Graban-Pomirska, **Wstęp**, [w:] E. Graczyk, M. Graban-Pomirska, K. Cierzan i P. Biczowska (red.), **Dwudziestolecie mniej znane. O kobietach piszących w latach 1918–1939 (z antologią)**, Kraków 2011, s. 9.

¹³ Oczywiście posługuję się tu określeniem bell hooks. Zob. bell hooks, **Teoria feministyczna. Od marginesu do centrum**, Warszawa 2013.

¹⁴ H. Filipowicz, **Przeciw literaturze kobiecej**, [w:] A. Nasilowska (red.), **Ciało i tekst. Feminizm w literaturoznawstwie – antologia szkiców**, Warszawa, s. 222–234.

przeciwników „kobiecej literatury”, biegnący w dodatku w polskiej krytyce najczęściej wzdłuż linii podziału płciowego (mężczyźni przeciw kobietom). Choć jej walka o uznanie intelektualnych możliwości pisarek była istotnie kontrowersyjna, jeśli chodzi o zastosowane środki (ironia, hiperbola, mizoginiczne metafory kobiecości), to była ona w pierwszej kolejności głosem sprzeciwu wobec dziedzictwa Młodej Polski, obfitującego w obrazy kobiet aniołów lub demonów, muz i modliszek, sfinksów i wampów, których porządkiem był irracjonalny, niekomunikowalny (i do tego zagrażający mężczyznom) porządek Natury.

Czy sięgając po reportaż społeczny – gatunek o wątpliwym statusie, atakowany (podobnie jak same kobiety) za „psucie” literatury, naiwność, schlebienie gustom czytelnickim – pisarki dwudziestolecia kontynuowały zaledwie istniejące już wcześniej zachowawcze (klasowe) tradycje społecznikowskie, kierowały się wrodzoną kobietom wrażliwością na los najsłabszych, czy raczej szukały dla siebie miejsca na rynku czytelnickim? Z pewnością wszystkie te odpowiedzi są częściowo prawdziwe. Wyobraźmy sobie jednak Wandę Melcer przemierzającą nocą miejskie zaułki, by zebrać materiał do *Kochanka zamordowanych dziewcząt*, i przypomnijmy sobie pochodzący z ostatniej dekady XIX wieku zapis traumatycznego doświadczenia Marii Komornickiej, aresztowanej przez policję w czasie nocnego spaceru po mieście¹⁵, a dostrzeżemy również wyraźny gest buntu międzywojennych pisarek przeciwko wpajaniu kobietom „lękości przed przestrzenią”, zwłaszcza tą ciemną, okrytą złą sławą. Być może zatem sięganie kobiet pióra po gatunek reportażu nie było decyzją koniunkturalną – jak zdawali się sugerować krytycy tej formy Ludwik Fryde czy Wacław Kubacki – ale emancypacyjną, przekorną wypowiedzią na temat (rzekomego) miejsca kobiety w społeczeństwie?

Książka *Warszawa w oczach pisarek. Obraz i doświadczenie miasta w polskiej prozie kobiecej 1864–1939* Małgorzaty Büthner-Zawadzkiej, dostarczając imponującego materiału literackiego do analizy fenomenu obecności (i widzialności) kobiet w przestrzeni modernizującego się miasta, pozwala spojrzeć również na kwestię funkcjonowania pisarek w życiu literackim dwudziestolecia. Autorka monografii co prawda woli się skupiać na bohaterkach prozy kobiet, zarówno fikcjonalnej, jak i dokumentarnej, uciekając od biografistyki, jednak – niejako mimochodem – utrwała obraz samej pisarki, przemierzającej ulicę z notesem i ołówkiem w poszukiwaniu tematu. Nie jest ona bierną obserwatorką świata, stojącą z boku i chłodnym okiem rejestrującą wydarzenia, lecz chce w nich uczestniczyć, zrozumieć je, poczuć. To pisarka, której pierwszą metodą twórczą jest rozmowa – z reguły z kimś ze społecznego marginesu, najczęściej z inną kobietą, choć przecież nie tylko, skoro przestrzeń publiczna pełna była wówczas rozmaitych strażników instytucji, którym z własnej obecności jakoś wytłumaczyć też się musiała. Jak Maria Konopnicka, pisząc swoje nowele więzienne. Znów więc wylania się jakiś dwugłos.

Z jednej strony, widzimy całą galerię bohaterek prozy kobiecej Orzeszkowej, Zapolskiej, Gojawiczyńskiej, Kuncewiczowej, Rodziewiczówny, Nalkowskiej – zamożne córki klasy średniej i żebraczki, prostytutki i matrony, żydówki i katoliczki, wdowy, panny i mężatki – wszystkie jednakowo wyobcowane w przestrzeni publicznej, cudzoziemki czujące się

¹⁵ Zob. I. Filipiak, *Malkontenta w Cambridge*, [w:] eadem, *Obszary odmienności. Rzecz o Marii Komornickiej*, Gdańsk 2006, s. 97–138.

na ulicy zawsze „nie u siebie”, wciąż z lękiem przekraczające (lub właśnie nie) przypisane im rewiry. Żadna z nich nie jest *flâneuse* – jeśli to ta figura miałaby być miarą „prze-strzennej wolności” nowoczesnego podmiotu. Z drugiej strony, gdy tylko spojrzymy na przestrzeń miejską nie jako na metaforę rodzącą się (lub okrzepłą) nowoczesności, ale konkretną, rejestrującą i reagującą na obyczajowe przemiany przestrzeni społecznej, to wówczas dostrzeżemy widoczne oznaki emancypacji, która stopniowo zmieniała ulice miast. Zobaczymy beneficjentki tych zmian, a były nimi same pisarki, wielające się w rolę narratorek kobiecych opowieści miejskich: Maria Konopnicka czekająca samotnie o piątą rano na Pradze na konwój zesłanych na Sybir więźniarek z Pawiaka, Wanda Melcer stukająca obcasami w drodze do żydowskiej rzeźni i Irena Krzywicka rozprawiająca na „górcie” w Ziemiańskiej o absurdach polskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie chodzi o to, że w II RP kobiety przestały być marginalizowane, ale o to, że zmiana stosunków społecznych, jaka się dokonała za sprawą emancypacji kobiet, musiała znaleźć swoje odzwierciedlenie w literaturze i instytucjach życia literackiego. Nawet nieprzychylny koleżankom po piórze Czesław Miłosz dostrzegał fakt, że kobiety zaczęły mieć w przestrzeni publicznej realną władzę (inna rzecz, że nobliście nie bardzo ta sytuacja odpowiadała...)¹⁶.

Warszawa w oczach pisarek to pierwsza tak przekrojowa i różnorodna panorama miejskich obrazów w rodzimym piśmiectwie kobiet i jednocześnie galeria portretów najważniejszych polskich autorek przełomu XIX i XX wieku. Ich postacie wylaniają się zarówno z pejzażu literackiego (kart ich powieści, reportaży), jak i miejskiego (uchwyciły je na tle budynków, ulic, teatrów i dworców fotografie, karykatury czy wspomnienia). Chodzą i piszą, a potem siadają przy swoich biurkach i też piszą. W zebraniu i utrwaleniu owych obrazowych reprezentacji „kobiet tworzących” Nancy K. Miller upatrywała sens praktyk arachnologicznych, przywracających widzialność sygnatury autorskiej, a przez to również ciągłość kobiecej tradycji literackiej¹⁷. *Warszawa w oczach pisarek* to książka, która właśnie dzięki swej topograficzności nieoczekiwanie przywraca zerwane, niewidoczne wcześniej połączenia między tekstami autorek żyjących w jednym miejscu, ale w różnych czasach.

Czym jednak jest owo kobiece continuum literackie? Pytanie to nienowe i oczywiście Małgorzata Büthner-Zawadzka ma świadomość wielości zaproponowanych również na gruncie polskim ujęć kobiecego piśmiectwa. Sama wybiera to, które akcentuje jego „wywrotowość”, rozumianą (za Julią Kristevą, Héléne Cixous czy Grażyną Borkowską) jako antyfalogocentryzm i antypatriarchalizm, przejawiające się i w samej formie (języku), i w sferze identyfikacji z kulturowym obszarem kobiecego doświadczenia czy wartości. Stąd autorka będzie mieć zasadniczy problem z tekstami kobiet, które są tradycyjnie napisane i pomyślane, a przez to być może są pozbawione emancypacyjnego wydzwiku (*Strachy* Marii Ukniewskiej), lub też są formalnie nowatorskie, ale ich wrażliwość niekoniecznie ma proveniencję feministyczną („komunistyczne” *Zrośty* Elżbiety

¹⁶ Pisze on o międzywojennych wpływowych pisarkach jako „babach na opłotkach”. Zob. Cz. Miłosz, *Prywatne obowiązki*, Olsztyn 1990, s. 94.

¹⁷ N.K. Miller, *Arachnologie: kobieta, tekst i krytyka*, przekł. K. Kłosińska, K. Kłosiński, [w:] A. Burzyńska, M.P. Markowski (red.), *Teorie literatury XX wieku. Antologia*, Kraków 2006.

Szemplińskiej-Sobolewskiej), jak również z tymi, które są feministyczne i jednocześnie antykobiece (wypowiedzi Krzywickiej), czy też nie są feministyczne ani prokobiece, ale jednak ostentacyjnie pisane z perspektywy kobiety (Magdalena Samozwaniec). Za każdym razem autorka będzie się czuła w obowiązku „usprawiedliwić” pisarki, by owe sprzeczności czy ambiwalencje wygładzać. Büthner-Zawadzka, posilkując się rozmaitymi teoriami, ciągle wraca w swojej książce do nierozstrzygalnego pytania o to, która subwersja jest prawdziwa – gdy kobieta świadomie i na przekór wartościowaniu wpisanemu w naszą kulturę manifestuje i identyfikuje się z binarnie zdefiniowaną „kobiecością” (Nałkowska), czy też może gdy, nie wierząc w możliwość odwrócenia znaków wartości, chce przepisać całą tę dualistyczną listę cech męskich i kobiecych (Krzywicka), a może nawet decyduje się porzucić w ogóle kategorię płci jako beznadziejnie ograniczającą (Przybyszewska)?

Poszukiwaniu w literaturze kobiet przede wszystkim śladów tej inności, która miałaby autorki odróżnić od mężczyzn, towarzyszy przeświadczenie o odmienności kobiecych i męskich praktyk miejskich. To dlatego w książce powraca pytanie o różnicę między postawą „żeńskiego *flâneura*” (kobiety naśladowującej męski sposób wchodzenia w przestrzeń) a postawą *flâneuse*, z których ta druga wydaje się zyskiwać rangę dojrzałej, prawdziwej i autonomicznie kobiecej strategii. Jej wzorem byłby zapis doświadczenia narratorki *Dyżansu warszawskiego* Marii Kuncewiczowej, która nie czuje się na ulicy wyobcowaną outsiderką, przestrzeń miejską postrzega przez pryzmat zamieszkujących ją ludzi, i której udaje się „doskonale godzić role próżniaczki oraz artystki – obserwatorki i kronikarki życia” poza zasadą społecznego zaangażowania¹⁸. Czytając ten opis nieco przekornie, można zobaczyć, czyje społeczne doświadczenie miało w ogóle szansę stać się paradygmatycznym dla kobiet obrazem funkcjonowania w przestrzeni.

Postawione przez Büthner-Zawadzką pytania o subwersywność kobiecych strategii pisarskich i emancypacyjnych są z pewnością nadal potrzebne i ważne (zwłaszcza z punktu widzenia wciąż fragmentarycznie opisanej w Polsce historii kobiet). Kwestie te wydają się już dziś niemożliwe do rozstrzygnięcia na gruncie teoretycznym. Choć przecież autorka *Warszawy w oczach pisarek* z naukową rzetelnością zestawia ze sobą różne głosy teoretyków kultury, to jednak wyabstrahowane z owego Greenblatowskiego „szlamu historii” przeistaczają się łatwo w piękne koncepcje, figury, metafory i metonimie, które przykrywają dawną codzienność literackiego dwudziestolecia – pulsującą życiem, zajętą tamtymi sporami, tamtymi problemami. Niemniej jednak książka Małgorzaty Büthner-Zawadzkiej, podobnie jak monografie Joanny Krajewskiej i Urszuli Glensk, pokazuje, że teksty czytane z odzyskaną po „postmodernistycznym kryzysie mimesis” wiarą w nieoczywistą (ale jednak) referencjalność literatury stanowią wyzwanie dla tych wszystkich map dwudziestolecia, które wydawały się nam już ostateczne.

¹⁸ M. Büthner-Zawadzka, *Warszawa w oczach pisarek. Obraz i doświadczenie miasta w polskiej prozie kobiecej 1864–1939*, Warszawa 2014, s. 567.